

„Danton” zmusił mandarynków krytycznych do zaznajomienia się (w skróceniu) z historią rewolucji francuskiej i do przeczytania rozdziału z leksykonu Brockhousa: „über Danton, sein Tod und Leben” — a co najważniejsze, do uznania i poszanowania rzetelnej pracy reżyserkiej i aktorskiej.

„Danton” został wystawiony i wyreżyserowany wprost świetnie. Akt III. rozgrywający się częściowo na proscenium, sceny zbiorowe, efekty świetlne i dekoracyjne, bajeczne opanowanie i wczucie się w charakter epoki przez aktorów

(Gliński, Brzeski, Tartakowicz i i.) to walory, które z „Dantonu” uczyniły „clou” sezonu teatralnego.

Rolę Dantona grał Jerzy Rygiel — a grał tak, że widziało się i słyszało Dantona ze sceny. Po tej jednej tylko roli miałby Rygiel w Warszawie profesjonalno-przyjacielskie krytyki recenzentów z łaski Przypadku i Protekcji i zyskałby sobie popularność. „U Lwów” jest jednak inaczej. Mówi się: „No tak, całkiem fajno, ale we Widniu są fajniejszy kawałki”. I na tem koniec!...

Dramat Rollanda pojawia się obecnie w Polsce po raz pierwszy. Pojawia się w chwili odpowiedniej do zrozumienia zdarzeń rewolucyjnych i postaci w sąsiadującej z nami Rosji i dlatego czyni na widzu wielkie i niezatarłe wrażenie.

Poza tem Lwów odkopuje się w dzień z zeszłorocznego śniegu, studjuje ceduły giełdowe, narzeka na podatek majątkowy i magistrat, tłoczy się po kawiarniach lub czytuje... afisze kinowe — a „gdy ciemność zapada i światła latarni zapłoną”: tańczy boską „La Jave”...

Lwów w lutym 1924.

W. Raort.

B. WARCHAŁOWSKI.

## Niesamowity wynalazek —

Są dni dziwne, kiedy słońce rzuca blask złoty, niezdrowy, a po wierzchołkach drzew chichocze wiatr. Nie zwykły to wicher mocny, łamiący gałęzie, nie wietrzyk to swywolny, igrający zeschłymi liśćmi po ziemi.

W takie dni wieje wiatr w gorących, nierównych podmuchach, nanosząc na morza rdzawą pianę; a może złoty pył, którym zawiewa zielone gąszcz, jest pyłem rodzących się wulkanów.

Przybite wtedy chodzi stworzenie wszelakie, głowy pospuszczawszy. Na dachach, w mrocznych, ponurych zakątkach słychać miażdżenie kotów jeno. Jak zbierzone, skaczą z dachu na dach, oddane ponurej chuci.

Z dachu na dach!

Czasem nietoperz cicho, niesamowicie przeslizgnie się, rzucając na nagie, białe, ściany błyskawiczny cień.

W takie dni na odległym malajskim archipelagu rozkwita cuchnący kwiat. Roje much siedzą na nim, naokół ginie każda trawka, a kwiat, jak wrzód, praży w słońcu ośliszgle liście...

Leżę sam. Ona odeszła już. Czuję na wargach posmak krwi. Ta żmija kąsa w pocałunku... W dniu tym nieporadny jestem, jak małe dziecko. Myśli moje w dziwnej dziś z czynami niezgodzie błądzą ot... tak, po horyzontach wiedzy i świata niespokojne, załęcznione. Dziś sen nie nadejdzie cicho, nie uśpi magicznym pocałunkiem. Nie!... czuję jego narkotyczne powiewy. Na bezbronno rzuca się jak kot. Targa, drze, niweczy więzy rzeczywistości, włącza się na piersi, nietoperzem skrzydłem oblepia oczy. Czuję, jak potwór z tętnic wypija moją krew.

Lecę na falach snu i wiatru. Mijają harde góry zarysy, doliny, uśpione w mgle... widzę, jak znika moja ojczyzna. Na południowej stronie grzbietu gór, gdzie morskie wiatry wolne wieją, świat inny, świat nieznany, świat marzeń moich, w sen spowity leży...

I w cudny kraj, w powodzi barw mieniący się w oddali, rzuca mnie sen.

\* \* \*

Przed oknami mego domu płynie woda. Stare, zmurszałe łodzie kołyszą się na szumiącej fali. Dachy, mchem obrosłe, pochylone nad lśniąca taflą, przeglądają się, kiwając zielonemi brodami mchu. W południowe godziny, gdy słońce roziskrza powierzchnię starego kanału wesoło i gwarnie wre życie przybrzeżne. Gromady chłopców, łapiących ryby, napelniają krzykiem i gwiżdżaniem całą dzielnicę. Jaskółki przelatując nad wodą, cienkim piskiem wtórują im w weselu.

Rojno i gwarno schodzą godziny południowe. Ale niech tylko za tumanem mgły schowa się słońce, niech ucichnie hałas dzieci, na nagie, białe domy pada straszny cień. Wylażą z dziur na dachach nietoperze i koty swoje gry nocne zaczynają.

Bardzo lubię tę starą, po przodkach odziedziczoną rudę. Pamiętam, piętnaście lat temu, gdy wyrzekałem w daleką podróż na wschód, płakałem na myśl, że tak długo nie będę widział drogich kątów. Przed trzema laty zmienił się i użył, jak plug, co zbyt kamienistą orał ziemię, wróciłem pod rodzinny dach. Tak trzy lata siedzę tu zamknięty i czuję, jak życie wlewa

mi kropla po kropli błogosławioną chęć czynów, śledzę z radością, jak marzenia moje błądzą po staroświeckich zaczerwienionych obrazach i szukają znów urzeczywistnienia.

Przecież życie ma jednak coś dla mnie!

Odwiedza mnie w ciemną, rozkoszną noc moja kochanka. Zna dużo, dużo miłosnych sztuczek. Bawię się niemi, jak małe dziecko.

O, znam jednak moją czarnooką sukę nawskroś... wiem, nienasycona moimi pieśczołami, idzie ładacznicą do innych i może gdzieś w portowej tawernie topi drzemiacą w łonie rozkosz. Wiem, często przychodzi do mnie przepełniona wonią alkoholu i płci i wtedy ta dziewczyna wywiera na mnie sataniczny wpływ. Potrafię pelzać u jej nóg i jak zmiłowania, błagać o jedno spojrzenie.

Zresztą bardzo lubię moją kochankę.

... Umie cudnie Zora grać na gitarze i śpiewać cygańskie piosenki, przepojone nocą, rozkoszą i tęsknotą. Oczy jej wtedy rzucają krwawe, niesamowite błyski... fosforyzują w nocy oczy Zory, jak ślepie kota... a może to tylko blask okien, jarzących się jak latarnie w ciemności.

Nigdy nie jest w moim pokoju kompletnie ciemno. Nawet gdy pogaszą lampy w całym mieszkaniu, ogromne małe szyby pracowni do której Hempla rzucając na ściany mleczną poświatą. Od dwóch lat, to jest od chwili, gdy wprowadził się do mnie, jaśnieją co noc.

Czasem nad ranem doktor otwiera okna i parzy zadumany na samotne, opuszczone podwórko. Chmury dymu wychodzą z pracowni i ostra, wyrazista jego twarz podobna jest do twarzy groźnego archanioła. Zdaje mi się, że nim się tu wprowadził, widziałem gdzieś te rysy. Tak gdzieś... bardzo dawno...

Doktor Arno Hempel jest wynalazcą paru ciekawych odkryć z dziedziny chemii biologicznej. Ma bardzo dobrze wyposażone laboratorium. Przesiaduje w niem głównie po nocach. Czasem zagląda do mnie i wtedy gramy w szachy i pijemy pomarańczowe wino, którego duży zapas przywoziłem z południa.

Zobaczył kiedyś u mnie Zarę. Zamienili ze sobą spojrzenia porozumiewawcze, a potem doktor najspokojniej podszedł do niej i przedstawił się.

— Hempel... zdaje mi się, że panią już gdzieś widziałem. Roześmiała się. — Ależ tak, owszem... widziałem cię, doktorze w „Continentalu”, przez trzy dni z rzędu śladywałam naprzeciwko twego stolika, chcąc odgadnąć, kim możesz być.

Doktor machnął ręką. — Ech! panno Zoro, poznamy się bliżej, myślę, u pana Van Tena.

Nazajutrz byłem w laboratorium, Bawiłem się najprostrzymi doświadczeniami chemii w trudniejszych momentach pomagał mi doktor.

— Czy zna pan bliżej Zarę, doktorze?

Wiem, że pytanie to było całkiem niedorzeczne. Zkąd mógł Arno Hempel znać moją kochankę? Zresztą, najoczywistej, zaprzeczył temu. Dziwne. Nie byłem zupełnie przekonany.

— Eryku, przy doświadczeniach należy skupiać całą uwagę na to, co się robi. O!... widzi pan, połowa cieczy wylała się z epruwetki.

Byłem mocno, naprawdę, zawstydzony moją nenuwagą.

Teraz coraz to trudniejsze doświadczenia robię, często nawet pomagam mu w pracy laboratoryjnej.

Ciekawe, ciekawe i dziwne jest to laboratorium. W dzień mroczne, ponure, w nocy oświecone rzędem kul elektrycznych na suficie, pograżone w ustawicznym stukocie manometru, wydzwaniającego cśnienia. Ogromne stoły uginają się pod ciężarem śrubstaków, kowadeł, kociołków... Na ścianach dziwacznie pokręcone pipety i kolby, skomplikowane jakieś przyrządy, a moc tego taka... Dwa motory turkoczące lekko, tak lekko, że ani przez myśl przejść nie

może olbrzymia szybkość obrotu ich kół, stoją na straży koło drzwi, jak małe żelazne potworki.

Dużo pieniędzy musiały kosztować te przyrządy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dowiedziałam się, w jakim celu Arno dzień i noc śleczy nad doświadczeniami. Trafiłem poprosić na chwilę jego słabości, kiedy rozżalony, po raz coś dwudziesty wsypywał do kolby te same składniki.

— Nie wiecie mi się — westchnął. — Bardzo ciężką jest dola wynalazcy. Musi się opuszczać utarte szlaki wiedzy i iść na bezdroża; czasem, doprawdy, chce mi się wrócić, skąd przyszedłem.

Spostrzegłem, że jest w jakimś niezwykle nastroju. Ręce mu drżały, palił nerwowo i gryzł mundał zębami.

— Za dużo, doktorze, pracujesz, za mało sypiasz. Nawet żelazny człowiek w takich warunkach może się zniechęcić.

Doktor wstał i szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju.

— Czy pan myśli, że to zniechęcenie? dzisiaj przecież będę robił doświadczenia aż do skutku, oczywiście, aż do pozytywnego skutku, a jednak czuję tu — wskazał na piersi — że mam już tego dosyć. Może pan, przecież odpocząć, a potem znów podjąć pracę. — Spojrzał na mnie szaleńczym wzrokiem. Uśmiechnął się. Czuję tu jakąś tajemnicę. Patrzę z coraz to większym zaciekawieniem na tego człowieka; dzieje się z nim coś niezwykłego. Siedzi teraz na długim, klubowym fotelu i widzę jak z jego twarzy spada surowa, ascetyczna maska i jak twarz doktora mieni się, targana sprzecznymi uczuciami. Dziwne. Zupełnie bezwiednie powiedziałem: — Z chęcią dopomógł bym ci, doktorze. Będzie to dla mnie zabiciem czasu, a może zdjęciem z pana choć część pracy. Nad czym pracujesz pan teraz?

— O... długo bym musiał tłumaczyć. Bardzo ciekawa drobnostka. Przyrząd, który wytwarza promienie, rozkładające na składniki hemoglobiny krwi. Rozumie pan? Ten mikroskopijny procent żelaza we krwi reaguje pod wpływem moich promieni z wodorem i to tak gwałtownie, że w sekundę nie zostaje w żyjącej organizmie istoty nic... nieśmiertelny! Bardzo trudno jest rzucić te promienie na daleką odległość. Pracuję teraz nad wydoskonaleniem soczewek. Praca trudna i skomplikowana.

Zrozumiałem! a zastosowanie tego aparatu? Zadrżałem, rzuciwszy to pytanie.

— Ha! ha! ha! — wpół we mnie stałowy swój wzrok. — zastosowanie! O tem też musisz pan wiedzieć! Z pomocą tej błahostki nagnę ludzkość do moich celów.

Przysunął swój fotel bliżej do niego i wolno, metodycznie, rozsuwał przedemną szaleńcze swoje plany. Gdy skończył, szarzało już na dworze, tylko czerwone blaski zachodu rzucały na twarz Arna kainowe znamię. Więc nad takim wynalazkiem pracuje Arno Hempel... ale pocóż mi to powiedział?... Czuję jak oczy doktora patrzą na mnie podejrzliwie, niespokojnie, po tem wyczytałem w nich nagle postanowienie. Podszedł do mnie krokiem cichym, pewnym, wyciągnął ręce, wzrok jego wbił się w moje oczy... z ufnością poddałem się jego drgnącej woli...

Zaprzyjaźniliśmy się od tego czasu. Mówimy sobie „ty”, ale jakżeż inaczej brzmi ono w jego ustach. Mówi głosem rozkazującym, tylko w głębi spojrzenia znać odrobinę ciepła. Moje nieśmiałe „ty” obija się o ściany, jak w obcym domu.

Codziennie pomagam mu w laboratorium. Znam doskonale mechanizm strasznego przyrządu. Podziwiam wiedzę szeroką i cudną zdolność organizacji mego przyjaciela, Arna.

ciąg dalszy nastąpi.